ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Lutego **N^{er} 6.** **Roku 1842.**

NA ŚMIERĆ PANNY ZOFII MINASOWICZÓWNĖJ.

PRZEZ

J. K. PAJGERTA.

22. grudnia r. 1841.

Dziś najpiękniejsza zwiędniała nam róża,
Dziś zagasł ponik upały skwarnemi,
Wichrem zwalona padła brzozka hoża,
Dziś mniéj jednego anioła na ziemi!

O moja lutni, oddana żałobie,
Zapowiédz światu: że Zosi już nié ma!
Gdy cnota, młodość i piękność już w grobie,
W przeciągléj skardze niech żal się rozdyma.

W lat cudnéj wiośnie, ach! właśnie gdy życie
Śmieje się wdziękiem najmilszym swéj twarzy,
Gdy wszystkie ścieżki kwiecą się obficie;
Śmierć ją porwała od ślubnych ołtarzy!

O, kto nie tylko własne straty czuje,
Ale piękniejsze w łonie serce nosi,
Gdzie i dla drugich łezka się znajduje,
Niech ze mną razem tą łezką twarz zrosi!

Ale łzy moje świat zimny przerywa:
Któż jest ta Zosia, dla któréj tak czuły
Z twego bardonu podźwięk się dobywa?
Nam nie są znane jéj przodki, tytuły.

O! moja Zosia, odpowiém ja światu,
Nie była panią losem wypieszczoną;
Lecz więcéj warta tego na grób kwiatu,
Byłaby lepszą i matką i żoną!

A ja mój bardon—tém chełpić się lubię—
Nie dumie, która rok w rok liczy krocie,
Nie czczym tytułom, nie podłéj rachubie,
Lecz poświęciłem piękności i cnocie.

PAN SIEMASZ.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA MŁODEGO SZLACHCICA.

(Ciąg dalszy.)

4.

DWÓR PANA MARSZAŁKA.

Ucieczka Matyjaszka ze szkół była oraz końcem jego szkolnéj edukacyi, bo go już więcéj do Sambora nie posyłano. Na odbytéj w tym celu radzie familijnéj stanęło, ażeby go rok w domu zatrzymać, uczyć czego szlachcicowi do późniejszéj w świecie karyjery potrzeba, a potém posłać na dwór jakiego pana, będący drugą szkołą dla dobrze urodzonego młodzieńca. Przygotowawcze do tego usposobienie pobierał Matyjaszek pod okiem ojca, a zasadzało się ono na dobrém jeżdżeniu konno i zręcznem wywijaniu szabelką, w czém obojgu stary Siemasz, jako dawny towarzysz pancerny, jeszcze dotąd był mistrzem. Matyjaszka sama natura usposobiła do tego rodzaju ćwiczeń gimnastycznych; zbywszy więc dyrektora i ciągłéj w szkole mozoły, nabrał więcéj śmiałości, więcéj hartu, i nie minęło pół roku, a najdzikszego dosiadał bieguna i wywijał szabelką, że aż serce starego ojca rosło z radości, bo nigdy szczérze nie myślał kierować syna na prawnika i tylko uległ w tém namowom brata żony, księdza szafarza ojców Dominikanów, który nie mogąc wymódz na rodzicach, by jedynaka do klasztoru oddali, chciał go w spokojniejszym przynajmniéj a niemniéj zyskownym umieścić stanie, to jest w stanie prawnika, jako nie w mniejszym zarodzie późniejszego kierowania się w świecie dla młodzi szlacheckiéj. Ale sam los chciał inaczéj, mruczał ksiądz szafarz,

lecz milczał, uważając jak stary Siemasz rad był z téj zmiany i jak nie dawszy sobie o czém inném mówić, o tém tylko rozmyślał, na czyim dworze swego jedynaka umieścić. Zacny i zamożny dom książąt Lubomirskich miał szczególnie sobie przychylnym, młodego księcia marszałka*), który się niedawno z Czartoryjską ożenił, znał osobiście i nie jedne na sejmikach tak jemu jakoteż familii jego wyświadczył usługę, a że tym panom zależało właśnie wtedy na skarbieniu sobie stronników pomiędzy szlachtą, nie wątpił więc, że książę marszałek nie pogardzi prośbą starego rębacza i na dwór swój przyjmie syna jego, jako młodzieńca biegłego już w tém wszystkiém, co dobry partyzant umieć powinien, a który odziedziczył po ojcach owo ślepe do swych panów i dobrodziejów przywiązanie i poświęcenie się dla nich bez granic. Gdy więc już syna swojego tak usposobił, że mógł się nim na najburzliwszym nie powstydzić dworze, chodziło o napisanie listu do księcia marszałka i w tém użyto pomocy księdza proboszcza, bo stary Siemasz zgrabniejszym był do korda niż do pióra, i z trudnością mu przychodziło jako tako kilka słów nakréślić, a pisząc do księcia marszałka, jako pana z naukami wielce obeznanego, trzeba się było dobrze zapocić, by nie ubliżyć winnego mu uszanowania i dumę pańską podłechtać. Wezwany zatém ksiądz proboszcz, po odbytéj z rodzicami konferencyi, wziął kilka tygodni na dylatę, dobył listów Cycerona i *Swady* Dancjkowicza**), jakie mu jeszcze ze szkół pozostały, a przewartowawszy dzieła te z rozwagą, podług wzoru tego ułożył list po polsku, gęsto przeplatany łaciną, i gdy takowy pochwałę nie tylko mniéj rozumiejącego się na tém pana Siemasza, ale samego nawet już udobruchanego księdza szafarza uzyskał, posłano go umyślnym do Łańcuta.

Odpowiedź nadspodziewanie pomyślną wypadła. Familija Czartoryjskich, do którój przez żonę książę marszałek należał, zbiérała właśnie wtedy, jak się rzekło, pomiędzy szlachtą jak najwięcéj stronników, by czoło stawić partyi Branickich i konfederacyi; więc młodzian z przywiązanego i uległego domu Siemaszów, nie mógł jéj być obojętnym. Stary Siemasz nie posiadał się z radości; kogo zdybał, czytał mu list księcia, a mianowicie zwykły koniec onegoż: »*Zostaję z miłym afektem Waszmości uniżonym sługą i bratem*«, z dumą wybitnym wygłaszał głosem. Tymczasem czyniono przygotowania do przyzwoitego oporządzenia Matyjaszka; pani Siemaszowa płacząc, to śmiejąc się z radości, szyła skwapliwie bieliznę, a sprowadzonych z Sambora dwóch żydów, krawców, przerabiało stare jegomościne jeszcze z czasów kawalerskich szaty, na suknie dla panicza, których miał mieć aż dwa garnitury, jeden od święta, drugi od dni powszednich. Dla uzupełnienia wyprawy, dodał ojciec swój najlepszy na dwie strony wybijany pas słucki, z wyraźném prawdziwości jego świadectwem, to jest: z wyhaftowanemi na końcu słowami: *textus est Sluciae**) i karabelę w jaszczur oprawną, wyszczerbioną jeszcze na twardéj mozgownicy Szweda.

Zbliżył się nareszcie dzień wyjazdu. Sam jegomość miał odwieść syna do Łańcuta i oddać go osobiście pańskiéj benewolencyi. Dniem piérwéj było w domu pełno płaczu i lamentu, a tymczasem pani matka układała pirogi i bigos hultajski na drogę dla najmilszych jéj osób, i pobłogosławioną w Rzymie karawaką, jako tarczą od wszelkich pokus szatańskich, uzbroiła swego jedynaka, podczas gdy ksiądz szafarz obdarzył go świéżo poświęconym szkaplérzem. Nareszcie zajechała bryczka, pani matka przeżegnała męża, syna, woźnicę i konie, i śród jéj szlochania i często ponawianych uścisków, ruszyły z miejsca stępaki, śledzone w biegu bystrém okiem żony i matki, aż po-za górą nie znikły. Matyjaszek płakał jak dziecko; lecz i staremu Siemaszowi łzy kręciły się w oczach, których wstydząc się niby wąsy pomuskiwał, a tymczasem tajemnie je ocierał rękawem od kontusza. Dla rozpędzenia smutnych myśli, zaśpiewał basowym

*) Książę Stanisław Lubomirski, marszałek wiel. kor. starosta wiślicki, goszczyński, latowicki i lubaczowski.

**) Zbiór listów różnych osób.

*) Napisem tym, różniły się te pasy od tureckich i perskich, od których zresztą trudno je było rozeznać.

głosem: *Kto się w opiekę* i t. d., na pół z płaczem wtórzył mu Matyjaszek, i jak gdyby z sympatyi, tę samę pieśń, o tymże samym czasie, śpiéwała pani matka w domu, żegnając po kilkakrotnie drogę, którą odjechali. Jakoż pod wpływem téj pieśni, stanęli podróżni nasi bez szwanku w Łańcucie.

Podziękowawszy najpiérw panu Bogu w kościele tamtejszym za szczęśliwie odbytą podróż, która mianowicie Matyjaszkowi niemal dłuższą się wydawała, niż teraz Anglikowi z Londynu do Indyj Wschodnich, zostawiwszy bryczkę w dworskiéj zajezdni*), przebrani chędogo poszli pieszo do dworu. Przy piérwszym wstępie na dziedziniec zamkowy, rozdziawił już Matyjaszek gębę na widok spaniałego w kształcie twierdzy pałacu i licznéj służby dworskiéj, uwijającéj się w nieustannym ruchu, a jednak w istocie nieczynnéj. Jaki taki spojrzał z boku na nowych przybylców i rozśmiał się z politowaniem z ich prostaczéj miny, a mianowicie cudzoziemcy, których już wtedy było pełno w Łańcucie, przypatrywali się z ironiczném podziwieniem staremu wąsaczowi, jak obok nieśmiałego syna butnym postępował krokiem, nie mogąc pojąć téj wrodzonéj dumy szlachetki, bo nie zgadywali, co się roiło w myśli tego, który co do rodowitości tak dobrym się mienił, jak sam pan Lubomirski, tak jak on mającym prawo do korony. W przedsionkach pałacu uwijający się kozacy, hajducy, pajucy i lokaje w krótkich katankach, jeden do drugiego odsyłali naszych podróżnych; najstarszy lokaj wyrozumiawszy nareszcie, o co rzecz idzie, odesłał ich do piérwszego pokojowca, ten do kamerdynera, ów do pełniącego służbę dworzanina, ten do marszałka, i dopiéro pan marszałek, stary, osiwiały szlachcic, miecznikiem nurskim tytułowany, powiódł ich rzędem kilku, jeden od drugiego coraz wytworniejszych pokojów, do gabinetu przed oblicze pańskie, gdzie książę zajmował się właśnie fryzowaniem swéj dużéj peruki.

Sypialny gabinet księcia, mieszczący w niełądzie ówczasowéj mody rzeźby scen mitologicznych, figurki porcelanowe, książki, ubrany był po obitych adamaszkami ścianach w duże zwierciadła weneckie, pomiędzy którémi wisiało kilka historycznych familijnych portretów, a między niemi wizerunek samego księcia ze wstęgą orderu orła białego, z laską marszałkowską i w stroju francuzkim, wizerunek Woltera, i młodego króla Stanisława Augusta pędzla Baciarellego. Książę marszałek w białym pudermantlu przesiąkł pachnidłami, którémi go fryzyjer hojnie namaszczał, tapirując perukę *a la Louis XV*. Matyjaszek wszedłszy z ojcem do tego gabinetu, wiernego ówczasowych zbytków obrazu, ukłoniwszy się aż do ziemi, pośliznął się i omal nie upadł na śklącéj jak źwierciadło posadzce; lecz na mocnych zatrzymawszy się nogach, stanął przy drzwiach i oczekiwał wraz z ojcem pańskiego przemówienia. Ale i po ojcu widać było, że wołałby był zajrzeć w oczy Szwedowi, niżli stać na téj śklistéj posadzce, po któréj nie wiedział jak stąpać, wystawiony na krytyczny przegląd fryzyjera i posługującego kamerdynera, wywiędłéj długiéj figury, do którego książę coś z uśmiechem po francuzku przemówiwszy, spojrzał potém na przybyszów i słuchał szumnéj marszałka prezentacyi, przeplatanéj częstémi ukłonami Siemaszów.

Po wyjściu marszałka książę bawiąc się karesami swego ulubionego legawca, przemówił: »Witam Waszmość panie Siemaszu, dawno cię nie widziałem, więc rad jestem, że i sam przybyłeś i syna na dwór mój powierzasz. Jak widzę walny chłopak.«

»Czysta krew szlachecka z dziada pradziada JO. panie«, odrzekł stary Siemasz i z dumą wąs podkręcał.

»Wieleż ma lat?«

»Skończył dwudziesty piérwszy na świętego Matyjasza, do usług księcia pana.«

»Piękny wiek Mosanie... uczyłże się czego?«

»Odbył *cum diligentia* retorykę u ojców Jezuitów w Samborze, umié *Alwar* jak pacierz i po łacinie nikt go nie zaprzeda.«

»Czy umié po francuzku?«

»*Deus avertat* JO. panie, tego żaden z Siemaszów nie umiał; ale za to nie powstydzi się z szabelką i najdzikszego konia dosiędzie.«

»Dobre i to«, rzecze książę, »bo żyjemy w czasach, gdzie to bardzo przydać się może.«

*) Czy nie dałby się ten wyraz miasto austeryi upowszechnić?

»Tego wszystkiego odemnie się chłopak nauczył«, dodał z dumą stary Siemasz uważając, że go książę rad słucha.

»Przyjmuję więc syna Waści na dwór mój«, po chwili milczenia odezwał się książę, przemówiwszy słów kilka po francuzku do kamerdynera, który właśnie w wielki fontaź chustkę mu wiążąc i układając zgrabnie brabanckie żabotle, pachnącémi skrapiał je wodami. — »Będzie jadał u stołu marszałkowskiego«, mówił daléj książę, »bo zważając na zasługi Waszmości w naszym domu, robię go od razu dworzaninem; pan marszałek powié mu jego powinności, szatny da z garderoby mojéj garnitur, jaki sobie według gustu wybierze, a koniuszy konia z rzędem i pacholika do usługi.«

Tak hojnéj łaski pańskiéj nie spodziéwając się pan Siemasz, aż się zaczerwienił z radości. »Stokrotne dzięki składam księciu panu«, rzecze po kilkakrotnych z synem ukłonach, »że tak spaniale mego jedynaka obdarzasz. Jużto dzięki Bogu, oporządziłem go cokolwiek, na co stać było chudego pachołka; ale szanując łaskę pańską upraszałbym, by mu nic kusego nie dano, bo by jak weneckie diablę wyglądał, a jakem *Sodalis Marianus*, żaden z Siemaszów jeszcze się na takie pośmiewisko nie wystawił.« Byłby tak daléj prawił, lecz przypadkiem spojrzawszy na portret księcia i postrzegłszy, że i on kuso ubrany, uderzył się ręką po twarzy, a ściskając księcia za kolana: »Z przeproszeniem JO. pana«, rzecze, »omałom głupstwa nie powiedział; ale u starego szlachcica co w sercu to i w uściech, i nie umié utrzymać języka za zębami.«

Książę zachodził się od śmiéchu; widać było jednak, że go ta mowa cokolwiek zaambarasowała, i że śmiéchem chciał pokryć gorzką prawdę, którą mu szlachcic powiedział. — »No, no, nie turbuj się Waszmość«, rzecze, »nie same tylko kuse suknie, jak powiadasz, są w garderobie mojéj, znajdzie się kontusz i żupan dla twojego syna, i pas i karabela, z których kontent będziesz staruszku. A teraz idźcie i rozgośćcie się tutaj, jak w swym własnym domu; marszałek ma rozkaz, by Waszmościom na niczém nie zbywało.«

Odeszli Siemaszowie i według rozkazu pańskiego rozgościli się jak we własnym domu. Wszystko w Łańcucie podobało się staremu Siemaszowi, tylko się zgorszył późnym obiadem, bo dopiéro o trzeciéj zadzwoniono na obiad marszałkowski. Przy stole według zwyczaju odmówił głośno podziękowanie Bogu za dar pożywienia; lecz uważając, że go oprócz syna nikt nie naśladuje, ale przeciwnie po twarzy niektórych dworzan i rezydentów szyderczy przemknął się uśmiech, tak to starego *Sodalisa* Maryi rozgniewało, że omal nie porwał się do korda. W czas jednak umiał się wstrzymać, a mruknąwszy pod nosem: *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*, usiadł niby spokojnie, lecz wewnątrz z rozjątrzoném sercem i milcząc z wilczym apetytem zabrał się do jadła, luboć i kuchnia francuzka nie tyle mu smakowała, jakby były polskie potrawy. Przygotował się na zachwalony barszcz królewski, na kiełbasę, pirogi, kaszę i zrazy, a tu karmiono go zupką, samémi korzennémi sosami, legumiuami jak pianka, i gdyby nie jędyk z podlewą, którego z połowę zrepetował, gdyby nie butelka starego *hungaricum*, którą do kropli wycedził, byłby wstał od stołu w zupełnie złym humorze, a tak choć się cokolwiek udobruchał. Rozgrzany winem chciał huknąć zdrowie JO. pryncypała, lecz nikt mu nie pomógł i stary znowu usiadł jak na koszu. Co się to dzieje teraz na tych pańskich dworach w naszym zopsutym wieku, Sodoma i Gomora! pomyślił; do tego ledwo dziesiąte słowo usłyszał po polsku, i tylko jakieś cudzoziemskie brzmienia nosowo-gardłowym dyszkantem obijały się o jego uszy. Milczał więc markotny i tylko w duchu z jędykiem rozmawiał, zmiatając sztukę po sztuce. W końcu gdy kichnął, a nikt mu: *sit saluti* nie powiedział, zerwał się jak opętany, wyleciał z sali jadalnéj, kazał zaprządz i odjechał z Łańcuta, gdzie go ani prośby syna, ani przedstawienia marszałka dłużéj zatrzymać nie mogły. Gdyby się nie był obawiał narazić sobie księcia Jegomości, byłby zabrał syna i nie pokazał się więcéj na tym, jak mówił prostodusznie, obyczajami cudzoziemskiémi popsutym dworze.

Synowi, gdy sam został, przykro było z początku; lecz miał taką naturę, że gdy się raz pozbył zwykłéj nieśmiałości, umiał się we wszystko wdrożyć. Jakoż przywykł wkrótce do tamtejszego życia i przy wrodzonéj powolności charakteru, pozyskał wkrótce względy pana marszałka i wszystkich dworzan, nawet owych cudzoziemców, którzy sami wiele pobłażania potrzebując, dla wszystkiego, co tchnęło polskim obyczajem, byli jak najmniéj pobłażającymi. Dobroduszny, był ze wszystkimi w zgodzie i tylko jakąś nieodgadnioną odrazę powziął do kamerdynera *Lafleur*, faworyta pańskiego; ale i z tym na pozór uprzejmy, niechęć obojętnością okrywał.

5.

GÓRA Z GÓRĄ SIĘ NIE ZEJDZIE, A CZŁOWIEK Z CZŁOWIEKIEM SIĘ ZEJDZIE.

Ostatnie światła iluminacyi, wyprawionéj z powodu przybycia saméj pani, młodéj księżnéj marszałkowéj z Puław do Łańcuta, jeszcze żywym

płonęły ogniem, tylko gdzie-nie-gdzie ubyło lampy, która prędzéj od innych w północnym wietrze zagasła. Na przybycie młodéj pani był zjazd wielki w Łańcucie, feta, spalenie ogni sztucznych z cyframi i herbami gorejącémi w powietrzu, i serce Matyjaszka jeszcze pod wpływem niewidzianych dotąd obrazów, drzało radosném upojeniem, a oko nie chciało się od tych widoków oderwać.

Była północ; w głównych salonach zamku grzmiała muzyka kadryle i menuety, i harmoniję swoje rozléwała aż po przestrzeniach ogrodu. Matyjaszek w salonach balowych, do których jako dworzanin miał wstęp wolny, napatrzywszy się do woli tyle rozmaitych scen i przepychów, tyle żywych kwiatów w liczném dam gronie, zeszedł do ogrodu, by po dusznych wyziewach sztucznych pachnideł, odetchnąć świeżością nocy czerwcowéj, roziskrzonéj milijonami gwiazd i dyszącéj wonią rozlicznych roślin i kwiatów.

Przy takim gwarze w zamku ogród pustym być nie mógł i Matyjaszek co chwila kogoś przechodzącego zdybywał: To młoda rozgrzana tańcem panienka wybiegła ochłodzić się w długiéj lipowéj alei; to młody kusy panicz się przemknął, aby w tajemniczém półcieniu drzącéj promieniami księżyca altany, o swéj balowéj niebiance pomarzyć; to lokaj z pochwyconą z książęcego stołu butelką, biegł w najdalszą ustroń ogrodu, wychylić ją za zdrowie swego bożyszcza z garderoby. Matyjaszek bez właściwego przechadzał się celu, i traf czy nieodgadnione w życiu ludzkiém zrządzenie powiodło go wązką ścieżką na ocieniony drzewkami wzgórek, z którego przedstawiał się piękny widok na niektóre partyje ogrodu. Na ławeczce umieszczonéj na samym szczycie wzgórka, coś bieliło się od promieni księżyca. Matyjaszek, luboć w puściźnie po matce wierzył jeszcze w duchy i wszelkie istoty nadprzyrodzone, po pustym od strony ławeczki wychodzącym śmiéchu poznał wkrótce, że owe białe magiczne postacie należały do żywych, ziemskich z ciałem i duszą istot, a że kilkomiesięczném otarciem się na tak wykwintnym, jak łańcucki, dworze, pozbył się już swéj dawnéj szkolnéj nieśmiałości, niby więc od niechcenia, zakradł się z boku na wzgórek, a to z takiéj strony, że musiał wedle ławeczki przechodzić. Zdjął grzecznie czworo-graniastą czapeczkę i dworski siedzącym paniom wypalił ukłon; tymczasem zajrzawszy im w oczy, stanął jak wryty, jakiémś przypomnieniem dotknięty. Na to jedna z niewiast krzyknęła z zadziwienia i Matyjaszek poznał w niéj swoje dawną znajomę i sąsiadkę, pannę stolnikównę Iwanicką, owę krasuolicą Jadwisię, którą nie widział od czasu smutnéj pamięci dyjalogu w Samborze. — »Pan Siemasz!« zawołała z radośném zadziwieniem dziewica.

»Panna stolnikówna Iwanicka!« z równą radością Matyjaszek wykrzyknął.

»Co Asindziéj robisz tu w Łańcucie?«

»Jestem dworzaninem JO. księcia marszałka. A Asindźka?«

»Panną respektową księżnéj.«

»Więc na jednym zostajemy dworze. Cieszy mnie to mocno, bo Asindźka przypominasz mi dom rodziców moich, gdzie ją podczas wakacyj tak często widywałem.«

»A Asindziéj przywodzisz mi w pamięć lata méj piérwszéj młodości, kiedyś my to nieraz z sobą w ciuciubabkę grywali.«

»Choć miałem dobrze zawiązane oczy, Asindźkę zawsze i po omacku złapałem.«

»A pamiętasz Asindziéj owę książkę w kościele? Przepraszam, żem mu ją dotąd oddać zapomniała.«

»Nic nie szkodzi, niech służy Asindźce« rzekł przytłumionym głosem Matyjaszek i wzdrygnął się mimowolnie, bo czarna kawa księdza rektora boleśnie jego przypomniała się pamięci.

»Byłaś Asindźka w salonie, gdzie tańczą?« zapytał po chwili młodzieniec, przerywając niemiłe przypomnienie.

»Niedawno z przyjaciółką wyszłyśmy z tamtąd ochłodzić się cokolwiek.«

»I ja tak uczynilem.«

»Nie widziałam tam Asindzieja, nie tańczyłeś zapewne?«

»Nie umiém tańczyć menneta, a więc z daleka tylko przypatrywałem się.«

»Łaskawa księżna pani obiecała nam, że pozwoli w końcu, jak się znaczniejsi goście rozejdą, potańczyć krakowiaka i mazura.«

»Jeźli panna stolnikówna nie wzgardzi mym afektem, śmiém ją prosić do jednego z tych tańców.«

»Z całego serca, miło mi będzie potańczyć z Asindziejem po dawnéj znajomości.«

Te i tym podobne wiedli rozmowy siedząc na ławeczce, a potém przechadzając się po ogrodzie. Przypadkiem dotknęły się ich ręce, Matyjaszek nie puszczał, bo mu bardzo lubo było, a panna Jadwiga nie umykała rączki. Zrobiło się jakoś, że wewnętrzną sympatyją wiedzeni oboje ścisnęli się za ręce i Matyjaszek, jak gdyby go na sto koni posadził, tak był wesół i radosny, że byłby całą noc przebawił ze stolnikówną w ogrodzie, która się także nie spieszyła, ale przyjaciółka zwróciła uwagę, że krakowiaka grają. Wszystko troje pobiegli więc szybkim krokiem po oświetlonych i kwiatami przyozdobionych wschodach do sali balowéj, odbrzmie-

wającéj wesołą melodyją narodowego tańca. — Niebawem wmieszali się w grono tańczących i młody Siemosz z panną Iwanicką ładnie wydawał się w parze, a cóż dopiéro, gdy w krakowiaku przewodnicząc z kolei, stanął z nią na czele, uciął hołupca i rozgrzany winem i oczkami hożéj dziewicy, zaśpiéwał:

Topnieje śnieg w zimie, żółknie liść w jesieni,
Lecz moje się serce dla ciebie nie zmieni.

Dziarsko przetańczywszy cały okrąg sali, zatrzymali się znowu przed chórem muzykantów; koléj śpiéwania wypadła na stolnikównę, ta z dziewiczego wstydu ociągała się cokolwiek, twarz figlarnie zakrywając wachlarzem; nareszcie znaglona prośbami otaczającéj ją młodzi, zarumieniona, z filuternym uśmiéchem pojrzawszy na swego taneczuika, odpowiedziała w śpiéwie:

Ufam twemu słowu mości kawalerze,
Że mnie aż do jutra kochać będziesz szczérze;
I kiedy przyrzeczeń mówisz mi tak wiele,
To może pokochasz aż cztéry niedziele.

Zachmurzył się zmieszany nieco Matyjaszek, rumieniec gniewu i wstydu wystąpił mu na lice, obecni huknęli śmiéchem, a z boku ktoś: »*Brawo!*« zawołał. Spojrzawszy w owę stronę, spostrzeżono księcia marszałka, który młodą małżonkę trzymając po pod ramię, ukryty w tłumie weselących się dworzan, niewidziany dotąd, przypatrywał się ich niewinnym szczéro-dusznym pląsom. Obecność księztwa przerwała taniec, ale nie na długo, bo bawiący się ośmieleni i zachęceni dobrocią państwa, do dawnéj niebawem wrócili wesołości, podniecanéj jeszcze hojnémi ofiarami pańskiéj piwnicy. Tak na tańcach i hulance upłynęła noc cała, i mimo chwilowego nieporozumienia, wynikłego z pustoty dziewiczéj, zawiązał się wtedy między Matyjaszkiem a panną Jadwigą Iwanicką stosunek miłosny, któremu okoliczność ta: że z jednych stron byli, że dziećmi prawie się znali, dodawała tém większéj podniety, ileże oboje, on jako dworzanin, ona jako panna respektowa, nie mieli nic prawie do czynienia, a próżniactwo przy wygodach życia, jest wielką do miłości zachętą.

(Dokończenie nastąpi.)

Sybila Indyjska.

P. Plucheneau gorliwy badacz natury, równie ze swego prawego charakteru jak i ze swego świata zaszczytnie znany, opowiada w opisie swoich podróży między innémi co następuje: Właśniem pod ten czas do Bombaju, przy nadbrzeżu malabarskiém przybył, gdy tamże Peschwa do kompanii wschodnio-indyjskiéj, dla wejścia w układy o zajęcie Porrundaru, był ajentów swoich przysłał. Ich strój bogaty i nader wytworny, był przedmiotem ogólnéj ciekawości mieszkańców; ja sam nieraz szedłem za nimi, abym się ich przepychowi dobrze przypatrzył. Pewnego wieczora, kiedy się tłumy ludu już przerzedzać zaczęły, wszedłem za nimi do publicznego ogrodu, zkąd ich do ubogiego na pozór, nad zatoką morską stojącego domu, wchodzących ujrzałem. Przed tym domem oświetlały duże latarnie kolosalną bramę i długą sień, w któréj głębi dała się słyszéć muzyka, jaka plasom Bajaderek przygrywać zwykła. Pytałem kilku Malabarów, których równie jak mnie ciekawość w to miejsce sprowadziła, coby to być mogło i coby się działo w owym domu? Jeden z nich, zdziwiony mojém zapytaniem odrzekł: »Jako? toż wam nie wiadomo? wszakto jest siedziba czarodziejki naszego kraju, sławnéj Hidulki. Ona odsłania przeszłość, wié teraźniejszość, a przepowiada przyszłość. Jéj rady zasięgają nawet naczelnicy kompanii wschodnio-indyjskiéj, a posłowie Peschwy udali się zapewnie do niéj, aby się o doli swojéj dowiedzieli.« Nagrodziwszy starego Malabarczyka, udałem się nie bez obawy w głąb tajemniczych sklepień kurytarza. Jeszcze nie wszedłem do oświetlonego gmachu, kiedy już jakaś stara niewiasta z kasty Talingów, dwóch rupij odemnie zażądała, które jéj dałem; poczém rozwarły się drzwi komnaty, a ja ujrzałem w niéj dwóch ajentów Peschwy, a trzeci był już u wróżki. Po zwykłych pozdrowieniach spocząłem na otomanie, oczekując cierpliwie kolei. Jednakże dopiéro po dwóch godzinach, kiedy już wszyscy trzéj posłowie odeszli, byłem wpuszczony. Na dany znak otwarły się drugie drzwi wiodące do pokoju osłoniętego kirem, gdzie tylko blade światło lampy wydającéj niemiły zapach, walczyło z posępną ciemnością. Posługacz wróżki skinął na mnie, abym w tém miejscu zaczekał, i usiadł przy mnie. Gubiłem się w rozmaitych domysłach, gdy wtém rozwarły się na oścież trzecie drzwi z łoskotem, a murzyn uchwyciwszy mnie za ramię, powiódł ku wchodowi przebytku Sybili. Byłato świątynia zupełnie ociemniona. Po chwili zamknęły się i te drzwi z trzaskiem, a ja pełen oczekiwania stałem obawą zdjęty. W tém dał się słyszéć tuż przy mnie głos następujący: »Jesteś Francuzem?« — »Tak jest, chlubię się nim być.« — »Nauki i handel były twojém zatrudnieniem, i niedawno przybyłeś do naszego kraju.« — »Tak jest.« — »Zwiedziłeś już wiele krajów, jednakże nie byłeś szczęśliwym w twoich usiłowaniach.« — »Niestety!« — »W téj chwili, w któréj z tobą mówię (byłoto dnia 29. lipca 1830 o południu) nadzwyczajne wypadki burzą twoję ojczyznę« — »Jakież?«

»Nie mogę ci teraz jeszcze powiedzieć, dość, że te wypadki wstrząsną całym światem.« — »W dwóch lub trzech miesiącach dowiemy się o nich.« — »Kochałeś bardzo piękną kobiétę z naszego kraju?« — »Tak jest.« — »Miałeś ją poślubić, ale umarła, a z nią wionęło twoje szczęście.« — Na te słowa wydarło się mimowolne westchnienie z mojéj piersi. — »Pociesz się«, mówiła daléj, »znajdziesz drugą, którą pokochasz, a z którą przecież się rozłączysz. Ujrzysz twoję rodzinną ziemię.« — »Oby to prawdą było!« — »Tak, ujrzysz ją, los cię wróci twojéj ojczyźnie, przypłyniesz do niéj na łodzi *przeznaczenia*.« — »Wytłumacz mi, co przez to rozumiesz?« — »Teraz nie mogę, dowiesz się o tém za lat cztéry.« — Usłyszałem jeszcze wiele innych o mym losie przepowiedni, które się co do joty sprawdziły. I tak w roku 1834 przypłynąłem do Francyi na marsylskim okręcie »*Destin*« a w r. 1830 wybuchnęła w istocie głośna lipcowa rewolucyja. W chwili, kiedym chciał odejść od mojéj prorokini rozjaśnił się gmach, mniemałem, że jestem w zaczarowanym przybytku. Pośród najpiękniejszéj i najwytworniejszéj sali płonęły ognie bengalskie. Czarodziejka siedziała na tronie ozdobionym szalami kaszmirowémi, połyskującym drogiémi kamieniami. Jéj oryjentalne szaty lśniły od pereł i dyjamentów; ona zaś sama pełna uroku i wdzięku, zdawała się łacniéj obudzać miłość niż wiarę w swe przepowiednie.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 5 i obejmuje: 1) Wnioski dla rolnictwa, wypływające z uwag nad królestwem roślinném i źwiérzęcém. 2) O tuczeniu źwiérząt domowych (Dokończenie). 3) Sposób uchodzenia zacierów gorzelnianych, przyrządzenie sztucznego fermentu i prowadzenie fermentacyi. (Ciąg dalszy). 4) Nowy sposób prasowania torfu. 5) Wiadomości czasowe. 6) Literatura.

Ner 3. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Awantura jarmarczna, rys obyczajowy. (Dokończenie). 2) Wiérsz: Do Michaliny K. w czasie karnawału, przez p. L. Bobrowskę. 3) Przygoda w zamiecі.

Odwołanie: Oświadczam niniejszém, iż artykuł *O baśni i jéj narodowém kształceniu się*, który w spisie rzeczy do *Lwowianina* z r. 1841 jako przezemnie skréślon, jest wymieniony, nie jest bynajmniéj moim utworem, ale przetłumaczony z niemieckiego, z *Mnemozyny*, w ostatnim roku jéj istnienia. K. Widmann.

Z Krakowa. Znany w literaturze polskiéj Jks. infułat Łancucki, jeden z lepszych mowców kościelnych, przeniósł się do wieczności na samym schyłku r. z. tu w Krakowie, gdzie był przez długi lat przeciąg proboszczem przy kościele Panny Maryi.

(*Orędow. nauk.*)

Z Wilna: Nowe dzieło J. I. Kraszewskiego opuszcza prasę: *Studia literackie*. Składa się z piętnastu rozdziałów, z których zwracają szczególniéj uwagę mające napis: Życie umysłowe — nowa literatura — piérwiastek narodowy w literaturze dawniejszéj — pisarze i czytelnicy — o historyi — o poezyi — romans i powieść — dramat — literatura peryjodyczna — krytyka — życie domowe kilku pisarzy polskich. — *Obrazu bibliograficzno-historycznego literatury i nauk w Polszcze*, przez A. Jochera, wyszedł z druku poszyt ósmy, czyli tomu drugiego poszyt trzeci.

Z Warszawy. *Album, czyli zbiór narodowych obrazów z pospolitego życia ludu warszawskiego*, zaczął wydawać W. Piwarski od początku roku 1841 w cynkografii Banku polskiego. Co miesiąc wychodzi jeden obraz, charakterystycznie rysowany z pochwyceniem ducha przyrodzonego ludu i rysów twarzy, i tak szczęśliwie na cynkowych blachach wycieniowany, i z nich odbity, że w równi stanąć może z najlepszémi litografijami; a jedyny jest w przedstawieniu tak trafném rzeczy domowych i z natury czerpanych. W. Piwarski, znany już powszechnie jako wyborny rysownik warszawski, zasługuje na wdzięczność powszechności, że w narodowych obrazach podniósł do tak wysokiego doskonałości stopnia cynkografiję, i że pewnie drugich do naśladowania siebie pobudzi, a tym sposobem sztuki piękne u nas dosyć zaniedbane ożyją. Są w księgarni p. Winiarza z tego *Album* p. Piwarskiego następujące obrazy: *Styczeń* 1841. »Litkup na Pradze i porachunek z Wojciechem.« — *Luty*. »Garkuchnia pod studnią, czyli obiad w każdym czasie (w Warszawie) w starém mieście na rynku.« — *Marzec*. »Zaduszki, czyli dziady z pod kościoła św. Krzyża z 1839 w Warszawie.« — *Kwiecień*. »Baranki! Szynki! czyli targ wielkosobotni za żelazną bramą.« — *Maj*. »Spekulacyja na przedce, czyli handlowa spółka w Warszawie.« — *Czerwiec*. »Grajek Mazur, czyli poczesne z przygrywką.« — *Lipiec*. »Handel! Handel! wszystko kupuję, dobrze zapłacę.« — *Sierpień*. »Cebularz warszawski: Czosnek! Cebula! Jmość!« — *Wrzesień*. »Przedsien na Pociejowie.« — *Październik*. »Pan Maciéj z pod Łukowa, czyli Podlasiak na warszawskim targu.« — Widzący te obrazy, pewnie przyznają, że nie są przechwalone. *A...*

Dziécię z 24 palcami. W Batignolles urodziło się dziécię mające u każdéj nogi i ręki po sześć palców. Rodzice zamyślają, gdy dorośnie, kształcić je na fortepijanistę, wnoszą bowiem, że dwanaście palców więcéj sztuce podołają niż dziesięć!

Obfity w złoto Oryjent. Mnogość drogich metalów i kamieni w Indyjach wschodnich, gdzie je z ziemi wydobywają, była w roku 1740 tak wielka, że ich z saméj tylko kopalni do Nadyra Szacha należącéj, w wartości 3,000 milijonów talarów wydobyto. Tegoż Szacha tron z czystego złota ulany, ważył 40 beczek (każda po 20 cetnarów). Gdy się z córką swego ministra żenił, dał jéj 45 milijonów talarów w podarku, i naszyjnik o 40 perłach, z których każda 14 tysięcy talarów kosztowała! Na pomnik swemu ojcu wydał 14 milijonów talarów.

Pomnik. W *West-Point*, jedném z najpiękniejszych miast nad rzeką Hudson w Ameryce Północnéj, wzniesiono piękną marmurową kolumnę na pamiątkę Kościuszki, który podczas drugiego pobytu w Ameryce Północnéj tamże mieszkał.

Miesiąc grudzień w życiu Napoleona. Już upłynął rok, jak dnia 15go grudnia cała ludność Paryża, tego olbrzymiego miasta, obejmującego w swoich murach milijon mieszkańca, zapełniając tłumnie ulice, w smutném milczeniu za orszakiem pogrzebowym postępowała; już minął rok, jak ta masa ludu bez różnicy płci, wieku i godności, cisnęła się na całéj linii, którą się ten orszak posuwał. Działo się to z tego powodu, ponieważ trunna zawiérała zwłoki męża, który olbrzymim swym jenijuszem i charakterem pamięć po sobie w każdéj duszy zostawił, który był personifikacyją największego szczytu Francyi. Nie byłato zaiste sama ciekawość ujrzenia przepysznych dekoracyj, ale ważniejszy powód, dla którego śród trzaskących mrozów, przez dwadzieścia dni na placu inwalidów nieprzeliczony tłum ludu się zgromadzał, gdzie haftowana suknia z kaftanem wyrobnika, aksamitna szata z skromnym

gorsetem, drogie futro z ubogiémi łachmany w śniegu grzęzły i razem się mieszały. A od tego czasu upłynął znowu rok, możnaby rzec wiek dla zmiennych uczuć tego tak niestatecznego ludu; wszystko umilkło, i zniknął nawet wszelki ślad tego artystowskiego dziwu. A przecież nie ustała pielgrzymka do kościoła jego weteranów; przez kraty skromnéj kaplicy, w któréj ta trunna czeka godnego siebie pomnika, zagląda codzień tysiąc ocz w ciasną przestrzeń, która śmiertelne zwłoki olbrzymiego ducha zamyka. Taki wpływ wywiéra ten miesiąc na zmarłego cesarza, jakby jeszcze i na tamtym świecie chciał mu dać to, czém za życia tak go często obdarzał, to jest, jak gdyby bohatérskie koło życia jego chciał gwiazdami czynów upromienić. Ileżto pamiątek obejmuje ten miesiąc! Dnia 19. grudnia 1793 zdobycie Tulonu, pierwszy wybuch tego jasnego płomienia. Dnia 26. grudnia 1799, mianowianie piérwszym konzulem. Dnia 24go grudnia 1800, ocalenie przed machiną piekielną. Dnia 2go grudnia 1804, koronacyja jenerała Bonapartego. Dnia 2. grudnia 1805, zwycięztwo pod Austerlicem. Cztery lata późniéj dnia 16. grudnia 1809, Józefina dla ustąpienia miejsca córce Cezarów schodzi z tronu. A w ośm lat późniéj zachwiała się ziemia pod nogami tego bohatera Tytaua, i miesiąc grudzień jak widział jego wzniesienie się, tak znowu na jego upadek patrzył. A we dwadzieścia siedm lat późniéj zmarły Napoleon odprawia dnia 15. grudnia swój wjazd do stolicy.

Akademija umiejętności w Paryżu ogłosiła bardzo łatwy galwaniczno-plastyczny sposób pozłacania, pośrebrzania, platyrowania i t. d. wszelkich metalów. Wynalazek ten jest dla techniki bardzo ważny i w wielu fabrykach dobroczynny skutek okaże. Ta tylko zachodzi niedogodność, że powlekaniem szlachetnémi metalami, także monety bardzo łatwo naśladować się dadzą.

Mikroskopowe i mechaniczne osobliwości. Pewien Anglik, który już przez lat kilka po świecie jeździ dla zebrania misternych dzieł czyli raczéj zabawek mechanicznych, zwrócił swoję uwagę mianowicie na osobliwości następujące: 1) Na Iliadę pisaną na pargaminie, która, chociaż 15,686 wiérszy zawiéra, podług świadectwa Cycerona w skorupce orzecha zmieszczono! 2) Papiér welinowy mający sześć cali szerokości, a ośm długości, będący własnością jednéj z biblijotek niemieckich i zawiérający pięć ksiąg Starego Testamentu, mianowicie księgę Rut w niemieckim, przypowieści Salomona w hebrejskim, pieśń nad piesniami w łacińskim, księgę Ester w syryjskim, i drugą księgę Mojżesza w francuzkim języku — wszystko to pisane jest tak wyraźnie, iż do przeczytania mikroskopu nie potrzeba. 3) Portret jednéj z królewien francuzkich bardzo trafnie odmalowany przez jednego z urzędników kardynała Ranucci. Na rysach twarzy obrazu tego napisał artysta kilka tysięcy wierszy, na pochwałę tejże królewnéj. 4) Portret hrabiego Königsmark, znajdujący się w uniwersyteckiéj biblijotece w Upsali, na którym malarz cały żywot hrabiego, przez niego samego w łacińskim języku napisany, umieścił. 5) Portret Anny królowéj angielskiej, ułożony podobnież jak dwa poprzednie, ale z tak drobnych głosek, iżby tekst zawiérający bijografiję jéj, pismem zwyczajném, ledwie się na całym dużym arkuszu dał zmieścić. Obraz ten znajduje się w muzeum londyńskiém. 6) Misternie przez Kallikratesa z słoniowéj kości urobione mrówki, których zaledwie mikroskopem dojrzeć można. 7) Okręt z słoniowéj kości przez Mirmoidesa, który się pod skrzydełkiem pszczoły wygodnie zmieścił. 8) Posąg przez rzeźbiarza Theodorusa ulany, który trzema palcami lewéj ręki trzyma tak drobny powóz czworosprzężny, iż takowy razem z woźnicą i końmi, również na posągu ulana, naturalnéj wielkości mucha, swémi skrzydełkami pokrywa. 9) Muchę mechaniczną Jana Königsberg, która jak naturalna lata. 10) Karetę Kalabryjczyka Girolamo Faba, która razem z dwoma końmi, woźnicą i dwiema osobami w niéj siedzącémi, nie większa jest jak ziarno jęczmienia. 11) Młyn Genueńczyka Giovanni Torriani, który w kieszenię schować można, a jednak tyle zboża na dzień umiele, iż na wyżywienie ośmiu osob wystarczy. 12) Zameczek zrobiony przez Marka Skalliotego, złożony z piętnastu stalowych żelaznych i miedzianych części, przy którym jest, oprócz tego klucz wiercony, i łańcuszek o 45 ogniwkach, a przecież go mucha na grzbiecie udźwignąć może. 13) Sprzęty stołowe Beweryka, jako to: stół, dwanaście nożów, dwanaście widelców, dwanaście łyżek, prócz talérzy, półmisków, pana, pani i służącego. — Wszystko to w pestce czeresznionéj jest umieszczone. 14) Pestkę czeresznіowa znajdującą się w królewskiém muzeum w Kopenhadze, na któréj 220 głów jest wyrzniętych. Podobno z trudnością przyjdzie synowi Albijonu zebrać wszystkie te osobliwości, gdyż być może, że pomimo wykazu paryzkiéj *Biographie universelle*, niektóre z tychże są jeszcze problematyczne.

Przestroga. Okropny przypadek wydarzył się dnia 13. stycznia b. r. w Wrocławiu. Pewien referendarz tamtejszy, czując się być słabym, przyzwał lekarza, a ten zapisał mu medykament, którego miał po stołowéj łyżce zażywać. Gdy słaby zażył przyniesione z apteki lekarstwo, zaraz padł nieżywy na ziemię i wszelkie usiłowanie ocalenia go, było nadaremne. Wezwano jak najprędzéj w pomoc lekarza, który o tym okropnym przypadku zawiadomiony, kazał sobie podać zapisane lekarstwo, i ulawszy na dłoń kilka kropli skosztował go. Ale tejże samej chwili wołając: »Podajcie mleka!« padł bez przytomności na ziemię. Chociaż natychmiast wykonano jego żądanie, przecież dopiero aż po trzech godzinach przyszedł do siebie. Okazało się, że nieszczęśliwy referendarz w lekarstwie zażył kwasu pruskiego, który jest zabijającą trucizną! — Nie wiadomo dotąd czyja w tém wina, gdyż aptekarz, równie jak i lekarz są ludzie światli, ostrożni i powszechnie poważani. Rzecz tę okaże dopiero badanie sądowe.

Proces lichwiarza zwraca obecnie wielką uwagę w Paryżu. De Villars, bardzo bogaty kapitalista, trudnił się od wielu lat pożyczaniem pieniędzy na procent. I tak pożyczył on jednemu nieznaczną kwotę na procent, który z czasem aż do summy 86,000 franków urósł. W skutek tego bardzo wielu świadków badano, i pokazało się, że osoby, od których pobierał najmniejszą lichwę, płaciły mu po 10 od 100 i otrzymywały tylko małą cząstkę w gotówce, a resztę w różnych fantach. Z drugiémi ostrzéj postępował i udowodniono, że lichwiarz ten od pożyczki 400 franków za dwa miesiące potrącał sobie zaraz 160 fr. procentu, co na rok 960 procentu wynosiło. Tegoto zacnego męża skazano na zapłacenie pieniężnéj kary 40,000 fr., lub na 10 lat więzienia w domu poprawy. Jeżeli złodziei za małą kradzież na galery posyłamy, czyliż nie zasługują na podobną karę lichwiarze, którzy z pożyczonego kapitału znaczne summy kradną?

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.